Michał GŁOWIŃSKI

# MOWA I ZŁO

*Zło wnoszone przez język, czy przez niego podsuwane, jest stałym elementem społecznego doświadczenia [...]. Odpowiedzią na to zło, która ma choćby pewne dane, by być traktowana jako środek przeciwdziałający, [...] jest dokonywana różnego rodzaju instrumentami krytyka języka.*

Język, pojmowany jako system, nie służy ani dobru, ani złu, jest moralnie neutralny, czy raczej może być wykorzystywany na rzecz jednego i drugiego. Jest taki, bo stanowi jedynie potencjalność; te same słowa i te same konstrukcje składniowe mogą być wyzyskiwane z równym powodzeniem do najgorszego i najlepszego, można w nich formułować wyroki śmierci i najobrzydliwsze kłamstwa, ale także – wyrażać to, co najszlachetniejsze, intelektualnie odkrywcze, piękne. Zdania obydwu typów wypowiadane są w tym samym języku, nie ma bowiem gramatyki dobra i gramatyki zła, nie ma słów, które wyspecjalizowały się tylko w służeniu złym (lub dobrym) celom. Język, oglądany w tej perspektywie, stanowi domenę wolności: to, co się z nim robi, zależy w zasadzie od wolnej nieprzymuszonej woli mówiącego.

Zaczynam swój wywód od przypominania oczywistości nie po to, by od razu, na samym wstępie, uchylić problematykę, która koncentruje się wokół relacji między wyborami moralnymi a językiem, czy też – by rzecz inaczej sformułować – jego wpływu czy oddziaływania na dokonywane przez nas wybory i podejmowane działania, na nasze myśli: zarówno te, jakie pozostawiamy nie nagłośnione, jak i przede wszystkim te, które stają się cząstką społecznej komunikacji, kierowane do indywidualnego rozmówcy bądź do szerszej publiczności. Problematyka to szczególnie doniosła – zwłaszcza w naszych czasach, gdy słowa leją się zewsząd, a masowe przekazy stały się jednym z tych elementów naszej codzienności, przed którymi w żaden sposób nie ma ucieczki, bo ten, kto z nimi nie wchodzi w kontakt bezpośredni, ulega złudzeniom, jeśli sądzi, że jest wolny od ich oddziaływań i presji. Problematyka owa ujawnia się wszakże nie na poziomie języka w ogólności, ale na płaszczyźnie mowy, w utrwalonych w niej tradycjach i konwencjach, w sferze pewnych przyzwyczajeń mówienia. I tutaj zasadnicze pytanie dotyczy nie tego, na ile i w jakim stopniu, jakimi metodami mówiący potrafi wykorzystać środki języka dla niegodnych, złych, czy wręcz zbrodniczych celów; na kwestie takie nie ma w zasadzie odpowiedzi, gdyż w każdym konkretnym przypadku rzeczy układają się odmiennie.

Problem nasz przedstawia się nieco inaczej, a mianowicie, czy, o ile, w jakiej mierze to, co ofiarowuje mówiącemu język, ułatwia mu ekspresję zła, złe działania, czy też wypowiadanie idei wchodzących w konflikt z kodeksami moralnymi, szerzenie postaw aspołecznych, na przykład nienawiści. Język jako system jest moralnie neutralny, nie świadczy to jednak, że takimi właściwościami odznaczają się jego elementy, że na niższych poziomach zachowuje się on w podobny sposób, a więc stanowi tylko globalną sferę możliwości. Najprostsze doświadczenie każdego podmiotu mówiącego daje niezliczone dowody, iż rzeczy układają się inaczej, że w mowie istnieje coś w rodzaju prefabrykatów, które pozwalają na wyrażanie i czynienie słowami zła, a niekiedy w sposób nie budzący wątpliwości je ułatwiają. Myślę tutaj przede wszystkim o tym, że utrwalone w języku zwyczaje, schematy, wiążące się z danymi słowami konotacje umożliwiają, czy też – w przypadkach najbardziej drastycznych – wymuszają, negatywny stosunek do innego człowieka, a więc nie tylko dopuszczają swoistą mowę nienawiści, ale ją w pewien sposób z góry zakładają.

Dochodzimy tutaj do problemu stereotypów, a więc wyrażeń, w których emocjonalne i wartościujące konotacje mają a priori przewagę nad znaczeniem, w których nad sensami górują irracjonalne wyobrażenia, nie poddawane kontroli, przyjmowane bezkrytycznie, traktowane tak, jakby ujawniały niezbite prawdy. Rozpatrywana pod tym kątem widzenia mowa jest jakby magazynem stereotypów, są w niej one utrwalone i z trudem poddają się krytyce – w każdym razie w toku potocznego kontaktu językowego. Oczywiście, można (a niekiedy trzeba) je demaskować, wymaga to jednak tak szczególnej postawy umysłowej, jak i szczególnych umiejętności. Ponadto krytykę utrudnia to, że są one nieustannie wykorzystywane w toku konfliktów społecznych, należą do tych nieczystych narzędzi, do których odwołują się różne siły polityczne. Gra stereotypami przynosi zwykle pożądane rezultaty, stała się więc niezbywalnym składnikiem wszelkiej propagandy, nie tylko tatalitarnej.

Interesuje mnie tu problem stereotypu jako czynnika wprowadzającego zło w ludzką komunikację, a więc jako elementu, który ingeruje w kontakty między jednym podmiotem a drugim, określa je, a – w pewnych okolicznościach – w istocie uniemożliwia. Stereotypy włączają się bowiem nie tylko wtedy, gdy mówiący zwraca się do tak czy inaczej określonej grupy, gdy przemawia z trybuny czy z telewizji, także wówczas, gdy mówi do drugiego czy o drugim. Wydaje się, że stereotyp jako składnik komunikacji zaznacza swą obecność przez to głównie, że konsekwentnie depersonalizuje stosunki międzyludzkie, a więc w drugim człowieku (nawet w przypadku bezpośredniej rozmowy) każe dostrzegać nie jednostkę, ale przedstawiciela grupy, wcielającego przypisywane jej właściwości, określane zazwyczaj negatywnie, choć negatywność ta nie zawsze musi występować jawnie, czasem dochodzi do głosu poprzez aluzje. To właśnie stereotypy utrwalone w mowie, przeka-

zywane w niej z pokolenia na pokolenie, sprawiają, że inny czy drugi przekształca się w obcego, czy wręcz w przedmiot nienawiści. Jest oczywiste, że rolę taką grają przede wszystkim zakotwiczone w mowie (i za jej sprawą – w świadomości) stereotypy narodowe.

Były one przedmiotem badań językoznawców, socjologów, teoretyków i historyków kultury. Nie aspiruję do dodania czegokolwiek w tej materii, chciałbym jednak ze względu na podjętą w tym szkicu problematykę rozważyć jeden tylko stereotyp tego typu – stereotyp Żyda. Interesuje mnie, jak ten funkcjonujący w polskiej mowie stereotyp może określać mówienie, jak wpływa na zachowania, jakie postawy mówiącemu podsuwa, czy wręcz narzuca, choć żaden determinizm tu, oczywiście, nie obowiązuje. A więc jak w mowie rysuje się stereotyp Żyda? Wybrałem do analizy ten właśnie, bo jest szczególnie wyrazisty i pod wieloma względami różni się od uschematyzowanych i utrwalonych w mowie obrazów przedstawicieli innych nacji czy grup społecznych.

By sprawdzić, jak rzeczy się mają, przejrzałem pod tym kątem wielkie słowniki języka polskiego (najmniej materiału dostarcza *Słownik* Doroszewskiego, w którym czuje się wyraźne skrępowanie, tak jakby leksykografowie dążyli raczej do zatuszowania, niż wydobycia osobliwości). Z przyjętego tu punktu widzenia najciekawsze są użycia metaforyczne słowa „Żyd" i jego pochodnych. Niemal wszystkie mają zabarwienie negatywne, a więc w znaczeniach przenośnych Żyd to tyle co handlarz, lichwiarz, wzgardzony wyrzutek społeczeństwa, skąpiec, chciwiec; żydowski świadek to świadek sprzedajny; robić coś po żydowsku to robić po szachrajsku (nie dotyczy to wszakże karpia po żydowsku); Żydówka bądź Żydówica to nie tylko szachrajka, ale także – czarna krosta itp. Krąg skojarzeń jest więc jednoznaczny; charakterystyczne, że na obraz Żyda w języku potocznym w ogóle wpływu nie miała Biblia, z której formuły w innych dziedzinach tak silnie na mowę oddziałały.

To pewne, że słowniki nie odnotowują licznych praktyk słownych, które wydają się ważne i znamienne. Nie zwracają m.in. uwagi na to, że kiedy mowa o Żydach, używa się często nazwy narodowości w liczbie pojedynczej, co się bodaj w takiej postaci i w takim zakresie nie zdarza, gdy mowa o innych grupach narodowych. Wiem, że uzus ten występuje nie tylko w polszczyźnie, nie przestaje być przez to jednak mniej charakterystyczny. Singularis ów świadczy o pewnych osobliwościach postrzegania, nie wolnych od silnych podtekstów oceniających. Świadczy nie tylko o dezindywidualizacji poszczególnych osób („kupować u Żyda"), także o przekonaniu, że grupa ta odznacza się sobie właściwymi cechami, charakteryzującymi każdego z osobna, kto do niej należy; w ten sposób mowa tworzy jakby obraz Żyda syntetycznego, typowego, reprezentatywnego.

Kwestia następna to liczne augmentatywy i deminutywy. Słowniki odnotowują je jako swoiste formacje słowotwórcze, nie informują jednak o ich

funkcjach. Rola augmentatywów („Żydzisko") nie wyróżnia się niczym szczególnym na tle innych stereotypów narodowych, jest oczywista, nie warto o nich pisać. Dużo ciekawsze są zdrobnienia, te wszystkie Żydki, Żydóweczki itp. Ciekawsze jako przejaw postawy minimalizującej i – dość często – zwykłej pogardy. Zdrobnienia pojawiają się i wówczas, gdy się mówi o innych narodach (Niemiaszek, Francuzik), ale rzadziej, pełnią też inną funkcję. Żydek jest kimś ze swej natury małym, podrzędnym, nieważnym. Dostojewski, gdy pisał o Polakach, zwykł używać deminutywu „Polaczek"; wywołało to wiele komentarzy i – co zrozumiałe – narobiło złej krwi. Jak się zdaje, u niego „Polaczek" występował w tej samej funkcji, w jakiej w wysłowieniu wielu osób funkcjonuje właśnie „Żydek". Rzecz inna, że ten akurat deminutyw używany bywa niekiedy w dobrej wierze, jest słowem delikatnym i – jakby się zdawać mogło – nikogo nie powinien urażać.

Osobliwością użycia słowa „Żyd" w polszczyźnie jest to, że może ono wystąpić w wołaczu, i to w tej roli, w jakiej pojawiają się wyłącznie czy niemal wyłącznie wyzwiska. Otóż uzusu takiego nie znają nazwy przedstawicieli innych narodowości, w zasadzie nie można powiedzieć: ty Francuzie, ty Niemcu, ty Egipcjaninie czy ty Czechu; a jeśli już nazwy tych narodowości w wokatiwie funkcjonują, to nie mają charakteru oficjalnego, zrównały się z przezwiskami (ty szwabie, ty kacapie), i one bywają przekaźnikami uczuć nienawistnych, stanowią jednak mimo wszystko inny przypadek. Nie będzie chyba przeto nadużyciem, gdy się powie, że jest to jedyna występująca w polszczyźnie nazwa narodowości, która w sposób całkowicie bezrefleksyjny może pojawić się w miejscach czy kontekstach zarezerwowanych w zasadzie wyłącznie dla wyzwisk. Rzecz inna, że słowo bywa wówczas zazwyczaj uzupełniane o wyrażenia, których charakter wyzwiskowy jest oczywisty. Amplifikacje te jeszcze udobitniają i wyostrzają zakres i charakter zjawiska. Tego typu łączliwość słowa, w przypadku innych nazw członków narodowości będąca czymś nadzwyczajnym, stanowiącym indywidualną inicjatywę mówiącego, świadczy o postawach utrwalonych w języku i zarazem o możliwościach, jakie on otwiera.

Z kwestią tą wiąże się dalsza sprawa: swoista symboliczność słowa „Żyd" w pewnego typu użyciach. Można by powiedzieć tak: ktoś nazwany Francuzem – można z góry założyć – jest Francuzem, ktoś określony jako Żyd nie musi być bynajmniej Żydem. Nie chodzi tutaj o to, że trudno wskazać precyzyjne kryteria. Jak się zdaje, kwestie takie w ogóle nie wchodzą w grę, nie chodzi bowiem o precyzję czy zasadność klasyfikacji. Żyd znaczyć może tyle, co ten, którego uważam za obcego, ten, którego nie lubię, czy wręcz – ten, którym gardzę. Znaczenie słowa wyzbywa się konkretu, nasiąka treściami emocjonalnymi, staje się przekazem postaw. Trzeba podkreślić, że tego rodzaju jego użycie, częste także w dzisiejszej polszczyźnie przynajmniej pewnych kręgów społecznych, nie jest prywatną inicjatywą tego czy innego mówiącego (gdyby tak było, rzecz nie stanowiłaby dla nas problemu, intere-

sują tu nas bowiem zjawiska o wymiarze ogólnym), tworzy w mowie swoistą potencjalność, jakby sama mowa je podsuwa. Potencjalność owa jest dyskontowana w mowie publicznej, wykorzystywana w walkach politycznych.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedno: w związku z tym, że omawiane słowo nabrało konotacji pejoratywnych, często górujących nad znaczeniem, że stało się przekazem negatywnych postaw oceniających, spotyka się tendencję u tych, którzy nie chcą ulegać tego rodzaju presjom, do jego unikania. Zastępuje się je innymi wyrażeniami lub stosuje peryfrazy, a czasem wypowiada z zażenowaniem, jakby chodziło o wyraz nieprzyzwoity. Jest to zjawisko interesujące, tym bardziej że – jak się zdaje – nie zdarza się w żadnym innym przypadku nazw członków narodowości, jest z tego punktu widzenia czymś wyjątkowym. Na praktyce takiej zaważyły z pewnością komplikacje historyczne, przede wszystkim z lat okupacji, kiedy nazwanie kogoś Żydem mogło się równać dekonspiracji i mieć najfatalniejsze skutki. Tutaj wszakże interesuje mnie przede wszystkim językowa strona sprawy. Słowo to zdominowane przez negatywne konotacje, traktowane jak wyzwisko, w mowie tych, którzy nie chcą poddawać się naciskom idącym od języka, w pewnych przypadkach przekształciło się w swoistego rodzaju tabu. Nie tu miejsce, by proces ten opisywać, wymagałby on uwzględnienia szerokich materiałów, nie można jednak go nie zasygnalizować. Zwłaszcza że pokazuje on, jakie wytwarzają się komplikacje w komunikacji społecznej w następstwie tego właśnie, że pewne elementy mowy stają się przekazami postaw jednoznacznie złych, służących szerzeniu nienawiści, nie do przyjęcia. Tendencja ta staje się skądinąd w pewnych okolicznościach współczynnikiem cynicznej gry. I znowu słowo „Żyd" dostarcza tu doskonałego przykładu. W czasie kampanii antysemickiej w 1968 roku propaganda komunistyczna nim się nie posługiwała lub niemal nie posługiwała, wylansowała mało komu znany wyraz „syjonista". W ten sposób jakby uchylała się od tych zarzutów, jakie mogłoby wywołać używanie wyrazu „Żyd".

*

W ten sposób doszliśmy do drugiej części naszych rozważań o relacjach zachodzących między złem a mową. Kwestie te – powtórzmy – nie ograniczają się do indywidualnego mówienia, ujawniają swoją wagę z ogromną siłą wówczas, gdy przedmiotem obserwacji czyni się procesy zachodzące w mowie publicznej, a więc pewne utrwalone sposoby mówienia, będące wyrazem postaw, dążeń i myśli już nie jednostek, ale grup politycznych, organizacji, partii itp. Zjawiska, które starałem się opisać w pierwszej części artykułu, są przede wszystkim sprawą tradycji; fenomeny, którymi zajmę się obecnie, też oczywiście od nawarstwień historycznych nie są wolne, kształtują się jednak współcześnie – w zależności od sytuacji politycznej, tych czy innych zbiegów okoliczności, tendencji w życiu umysłowym. Jednym z ta-

kich fenomenów jest to, co nazwałbym stylistyką kłamstwa, czyli sposoby mówienia charakterystyczne dla danego czasu, służące politycznej grze tych sił społecznych, których racje są z moralnego punktu widzenia wątpliwe, a stosowane środki często wchodzą w konflikt z elementarnym poczuciem przyzwoitości. Chodziłoby więc – dalej – o sposoby mówienia, w których zasadniczym czynnikiem organizującym byłoby nie dążenie do zgody z klasyczną definicją prawdy, ale takie względy, jak skuteczność, podległość przyjętej doktrynie ideologicznej itp. Tutaj na pierwszy plan wysuwa się to wszystko, co się dzieje nie na poziomie idiolektu, czyli mowy indywidualnej, ale socjolektu, czyli mowy danej grupy społecznej. Tak rozumiana stylistyka kłamstwa nie stanowi wyskoku indywidualnego, nie jest – i być nie może – przygodną właściwością jednostkowego mówienia, choć ono samo może być niczym innym jak przekazem kłamstwa najbardziej wyrafinowanego i odrażającego. Jest ona właściwością języka publicznego. A wzorcowym przykładem jej działania jest język propagandy komunistycznej, tak jak on się ukształtował w czasie, gdy partia ruch ten reprezentująca uzurpowała sobie kierowniczą rolę, ten język, który zwykło się – za Orwellem – nazywać nowomową.

Na stylistykę kłamstwa składa się zespół najróżniejszych środków językowych (słownictwo, frazeologia, składnia, a także pewien typ retoryki), które wyspecjalizowały się w służbie fałszu zinstytucjonalizowanego. I tutaj trudno o lepszy przykład niż nowomowa jako jedno z wcieleń mowy totalitarnej, porównywalne z tym, co Victor Klemperer określił jako lingua tertii imperii; dysponuje ona swoistymi wyróżnikami stylowymi, podporządkowana została z góry wyznaczonym funkcjom, ponadto stanowi konwencję w wysokim stopniu uformowaną, a więc łatwo rozpoznawalną. Kłamstwo, nie będące właściwością doraźną tego typu użycia mowy, ale cechą strukturalną pewnych sposobów mówienia, charakteryzujących przede wszystkim języki publiczne, nie musi decydować bezpośrednio o znaczeniu poszczególnych użytych słów (choć oczywiście może to czynić), odciska jednak piętno na całości. Można powiedzieć więcej: w stylistyce kłamstwa nie przekazuje się za każdym razem, gdy się ona pojawia jako cecha wypowiedzi, kłamstwa. I to nie tylko w tym sensie, że można wprowadzić takie kwalifikacje, jak półprawdy, ćwierćprawdy itp. Nie będziemy się wszakże wdawać w tego rodzaju rozróżnienia, powiemy zaś z naciskiem, że nawet wypowiedzi, które skądinąd przekazują prawdę, gdy formułowane są środkami właściwymi stylistyce kłamstwa, mają wszelkie dane, by zostać odebrane właśnie jako kłamliwe. Elementy mowy, które wyspecjalizowały się w przekazywaniu kłamstwa, bywają sygnałem silniejszym niż konkretna treść zawarta w wypowiedzi.

I tu doszliśmy do zagadnienia o wadze podstawowej, a mianowicie do kwestii funkcjonowania stylistyki kłamstwa, jest ona bowiem nie tylko pewnym zespołem środków i konwencji, spożytkowanych w danym tekście, sta-

nowi także zjawisko określające odbiór, a więc ogólnie – społeczne istnienie mowy. To prawda, samo wyróżnienie stylistyki kłamstwa, często na pół świadome lub – w większości przypadków – spontaniczne, wręcz bezrefleksyjne, jest faktem pozytywnym, chroni bowiem człowieka przed uleganiem szalbierstwom, wyklucza naiwną wiarę w fałszywe autorytety, powoduje jednak swoiste skutki uboczne. Jej rozpoznawalność chroni, to pewne, ale też staje się współczynnikiem komunikacyjnych nieporozumień. Kiedy stykam się ze stylistyką kłamstwa, a jest to na ogół równoznaczne z kontaktem z mową totalitarną, z góry zakładam, że to, co się w niej komunikuje, jest kłamstwem właśnie, choć – jak wiemy – nie musi to być regułą. Taki sposób reagowania na tego typu mowę, zrozumiały, zasługujący na moralną akceptację, pociąga – przynajmniej potencjalnie – pewne niebezpieczeństwa. Takie choćby, jak naiwne przeświadczenie, że to wszystko, co znajduje się poza stylistyką kłamstwa, a więc poza konwencjami mowy wyzyskiwanymi w celach propagandowych i służącymi zwykle kłamstwom, jest z góry domeną prawdomówności, w takich przeto przypadkach zakłada się, że sam typ użytego języka może z góry przesądzać o konkretnej jakości dyskursu. I tu pojawia się dalsza pułapka, a mianowicie skłonność do podziałów dychotomicznych, prowadzących do uproszczeń, a niekiedy nawet – zafałszowań.

Totalitarna stylistyka kłamstwa, dążąc nieustannie do zniewolenia tych, którzy posługują się mową (a więc po prostu wszystkich), wprowadza zakłócenia w społeczną komunikację nie tylko dlatego, że zmierza do narzucenia pewnego typu poglądów i wartościowań, a także z tej racji, że odbiera wiarygodność również temu, co godne byłoby poważnego potraktowania, przyjęcia do wiadomości, zastanowienia. Określa ona w swoisty sposób odbiór tych wszystkich tekstów, które tak czy inaczej są z nią związane, bo realizują jej zasady, czy tylko nieświadomie przejmują obowiązujące w niej konwencje. A u podstaw tego właśnie odbioru znajduje się założenie, że wszystko, co przekazuje się w stylistyce kłamstwa, jest kłamstwem i niczym innym. Sięgnijmy po taki przykład: w demokratycznym świecie wielkie wrażenie wywołał terror praktykowany przez prawicowe dyktatury – pod koniec lat sześćdziesiątych w Grecji rządzonej przez tzw. czarnych pułkowników, a w połowie lat siedemdziesiątych w Chile po zamachu stanu Pinocheta. W Polsce wydarzenia te nie zrobiły żadnego wrażenia – nie dlatego że społeczeństwo polskie okazało się nieczułe na tego typu okrutne postępowanie, czy że już było tak zajęte swoimi kłopotami, iż nie miało psychicznej energii, by dostrzec nieszczęścia innych społeczności. O terrorze tym informowano szeroko w środkach masowego przekazu, a więc braku zainteresowania nie można przypisać niewiedzy. Ale informowano nowomową, a więc tak, jak pisano o najróżniejszych rzekomych zbrodniach dokonywanych przez przeciwników politycznych komunizmu, imperialistów, wrogów ludu, syjonistów. Typ użytego języka przesądzał o niewiarygodności przekazywanej informacji. A to, co pisano o czynach dyktatorów w Grecji i w Chile, niczym

się nie różniło od tego, czym karmiono polskie społeczeństwo od dziesięcioleci na temat różnych mniej lub bardziej wyimaginowanych lub zhiperbolizowanych niegodziwości. Jest to ciekawy przykład procesu, tak charakterystycznego dla funkcjonowania słowa w systemach totalitarnych: sam typ użytych środków językowych stanowi czynnik rozkładający społeczną komunikację. Chodzi tu w istocie o coś więcej niż o narzucanie kłamstw, także o to, że prawda jest w społecznym odbiorze traktowana jako kłamstwo nawet wówczas, gdy nie podlega zafałszowaniu.

Kiedy mowa o stylistyce kłamstwa i jej roli w społecznej komunikacji, należy wskazać na jeszcze jeden ważny czynnik, a mianowicie, że towarzyszy jej świadomość niewiarygodności podmiotów mówiących, sprawa wykracza więc poza nawet szeroko rozumianą stylistykę. Zakłada się niejako bezrefleksyjnie, że pewien typ podmiotów nie jest zdolny do niczego innego ponad przekazywanie mniej lub bardziej zakamuflowanych kłamstw. Można powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z podmiotami zgranymi, takimi, które wyzbyły się autorytetu (choć aspirują do autorytatywności), podejrzanymi jako instancja mowy. Chodzi tu zarówno o podmioty indywidualne, jak i zbiorowe (podmiotem zbiorowym nowomowy jest nomenklatura).

Zło wnoszone przez język, czy przez niego podsuwane, jest stałym elementem społecznego doświadczenia – i to zarówno wówczas, gdy chodzi o elementy przekazywane przez tradycję, jak i o współczesne ideologiczne manipulowanie mową. Odpowiedzią na to zło, która ma choćby pewne dane, by być traktowana jako środek przeciwdziałający, nie jest moralizowanie. Jestem przekonany, że reakcją najbardziej intelektualnie uprawomocnioną jest dokonywana różnego rodzaju instrumentami krytyka języka. A więc m.in. kształtowanie takiego metajęzyka, który pozwalałby ujawniać różne aspekty i różne uwikłania mowy, zwracał uwagę na te jej właściwości, które w normalnym („niekrytycznym") używaniu mogą ujść uwagi. Skoro mam krytyczny stosunek do języka, w tym do własnego mówienia, jest mniejsze prawdopodobieństwo, że ulegnę wątpliwym treściom, jakie on mi podsuwa, że wpadnę w te, niekiedy sprytnie ukryte, pułapki, jakie on na mnie zastawia. Pojęcie krytyki języka jest szerokie, obejmuje różne dziedziny refleksji. I również przez swój zakres wydaje mi się cenne, obejmować może bowiem tak filozofię języka w najróżniejszych jej odmianach i kierunkach, jak i jego socjologię, a także przynajmniej niektóre dziedziny refleksji w ścisłym tego słowa znaczeniu językoznawczej; również pewien typ literatury nie bywa niczym innym, jak właśnie krytyką języka. Krytyka języka we wszystkich odmianach sprzyja świadomości mowy (czy nawet – nadświadomości), a więc chroni przed potencjalnymi zagrożeniami, jakie ona niesie.

*Listopad 1990*